W dworcowym barze

Odrażający pisk kół, nieprzyjemne smagnięcia powietrza po twarzach wyczekujących na peronie ludzi i pociąg stanął. Po chwili z jego otworów wejściowych wypłynął tłum ludzi, niczym włosy z głowy Gorgony, który łącząc się w jedną zbitą masę, skierował się po schodach do tunelu.

Michał szedł wolno, zamyślony. W momencie gdy dotarł do końca tunelu, skręcił w lewo i po starych, dobrze pamiętających jeszcze przedwojenne czasy schodach, wszedł na ich szczyt. Wkrótce minął budkę z gazetami, a następnie zatrzymał się przed dworcowym barem. Wszedł do środka. Wewnątrz panował gwar. Przyjezdni stali oparci przy wysokich stolikach. Jedni pili podłą herbatę, inni lurowatą kawę i obojętnym, nic nie wyrażającym wzrokiem obserwowali tych, którzy wchodzili i wychodzili z pomieszczenia, a także tych, którzy pochłonięci jedzeniem zdawali się nikim i niczym nie interesować – oprócz oczywiście własnego pokarmu. Pośród nich swoje gniazdko znaleźli miejscowi bezdomni.

Michał zapłacił za herbatę i zajął miejsce przy stoliku w kącie sali. Przy jego nodze położył plecak. W bliskiej odległości od niego, na posadzce, przy swoim tobołku drzemała kobieta. Wyglądała na starą, ale jej wiek był tak naprawdę trudny do ustalenia i stanowił dużą niewiadomą. Okutana była w jakieś brudne, postrzępione łachmany, które przepasła grubym sznurkiem. Obok niej, opierając się o parapet okna, stał zmęczony życiem mężczyzna. Jego wiek również był trudny do ustalenia. Na oko mógł być zarówno starszy do niej, młodszy, jak równie dobrze być jej

rówieśnikiem. Na sobie miał błyszczącą od brudu i porozrywaną w kilku miejscach marynarkę. Jego twarz nie wzbudzała zaufania. I nawet nie o to chodzi, że pokryta była zmarszczkami – to normalne, gdy prowadzi się taki tryb życia, rzecz w tym, że ona wyglądała tak, jakby w dalekiej przeszłości dostała się pod skalpel chirurga-sadysty.

– Uwaga, uwaga! Pociąg do… – dobiegło z zewnątrz. Nikt jednak nie zareagował, jakby ten głos do nikogo nie dotarł, nikogo nie obchodził. Wszyscy zachowali obojętność, nadal niewzruszenie zajęci swoimi sprawami.

Michał pił herbatę małymi łykami, ukradkiem obserwując jedzącego przed nim człowieka, który bezmyślnie błądząc wzrokiem z lewej na prawo, z prawej na lewo, w pewnym momencie „przyłapał" Michała na podglądaniu go. Nie wiadomo dlaczego, ale wpadł w zakłopotanie. Jakby czuł się winny temu, że ktoś mu się przygląda. Na efekty nie trzeba było długo czekać – szybko wyszedł z baru nie dokończywszy jedzenia. W następnej chwili do opuszczonego stolika podeszła stara kobieta z podłogi, która, jak się okazało, wcale nie drzemała, a jedynie spod półprzymkniętych powiek bacznie obserwowała otoczenie.

Po krótkim węszeniu pozostałości, dopiła resztę z pozostawionego garnuszka, wyjęła z kieszeni brudny worek foliowy, w którym wylądowały resztki z talerza. Następnie ruszyła przed siebie. Przeszła, niczym królowa, miedzy kilkoma stolikami, na których znajdowały się półmiski z niedokończonym jedzeniem i kilka razy powtórzyła tę samą czynność z torebką foliową, która w szybkim tempie zapełniła się do połowy. Spojrzała na nią i nagle jej twarz ozdobił uśmiech. Może kiedyś, kiedy była młoda, był on

czarujący, dzisiaj nic z niego nie pozostało – nawet wspomnienie: dziąsła pozbawione były zębów, a ona sama była odrażająca i odpychająca.

Woreczek z łupem schowała do kieszeni, po czym skierowała się w stronę Michała. Gdy znalazła się obok, powiedziała, sepleniąc:

– Panocku, moze chce pan do buzi? Ząbków nie mam sybko pójdzie.

Michał przecząco pokręcił głową.

– Tanio police… – Spojrzała na Michała niemal błagalnie.

Michał odwrócił się do kobiety plecami, zabrał garnuszek z herbatą i przeszedł dwa stoliki dalej.

Kobieta odeszła w stronę swojego towarzysza doli i niedoli. Po drodze, na wcześniej zajmowane miejsce, roznosiła wokół siebie przykry zapach. Był na tyle silnie mdły, że aż dławił. Dlatego jedni podróżni odwracali głowy, inni udawali, że nic takiego się nie dzieje. Jednak po twarzach widać było ich rozaczliwe próby wstrzymania oddechu.

Michał spojrzał na zegar ścienny wiszący nad wejściowymi drzwiami: była dwudziesta czternaście. W tym właśnie momencie do baru wszedł mężczyzna. Był średniego wzrostu. Sylwetkę miał szczupłą, co nadawało jego postaci pozór młodzieńczości. Młody jednak nie był. Twarz miał ogorzałą od słońca i wiatru, pokrytą kilkudniowym zarostem, spod którego wyraźnie przebijała blizna, umiejscowiona pomiędzy jego prawym uchem a brzegiem ust. Oczy miał przekrwione – może z niewyspania, może ze

zmęczenia, a może po przepiciu, czy w ogóle z powodu jakiejś choroby. Pod nimi wisiała zwiotczała skóra przpominająca swoim wyglądem zmięte prześcieradło. Włosy miał gęste, czarne, zaczesane do góry. W lewej dłoni trzymał zwiniętą do polowy, prawie pustą siatkę ze śliskiego materiału. Uważnie rozejrzał się dokoła, jakby kogoś szukał, po czym zdecydowanie ruszył przed siebie. Po chwili doszedł do stolika Michała, następnie wyjął z siatki gazetę, z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął długopis, po czym, oparłszy się o brzeg stolika, jak gdyby nigdy nic zaczął rozwiązywać krzyżówkę.

Michał przez krótką chwilkę przyglądał się intruzowi, następnie przeniósł wzrok na starą pomywaczkę, zbierająca ze stolików naczynia, które układała chaotycznie na metalowym wózku. Nagle jego uwagę przykuło troje ludzi: dwóch mężczyzn i kobieta. Jeden z nich coś mówił, namiętnie gestykulując przy tym rękami, co miało prawdopodobnie wzmóc przekaz jego myśli. Ci natomiast w milczeniu słuchali jego słów, jak świnie grzmotów.

– Jasiu, znasz już Brygidkę, i to dobrze, że tak powiem na wylot. – Mężczyzna w pomiętym płaszczu wskazał na kobietę stojącą obok, której głowa niewiele wystawała ponad blat stolika. – Ożenię się z nią. To moja dziewczyna, moja Briżit Bardot! Wiem, że ją miałeś. Ale nie martw się, ciebie też zaproszę. Żebyś nie myślał, że chowam jakąś urazę do ciebie. Było – minęło.

Kobieta ubrana była w jasno-popielatą kurtkę, która sięgała jej do pasa; spodnie z materiału były rozszerzane u dołu, na nogach natomiast miała tandetne obuwie na koturnie; przez ramię zwisała jej przewieszona brązowa torebka. Stała chwiejnie i aby nie upaść, kurczowo trzymała

się blatu stolika i debilowatym wzrokiem wpatrywała się w swego sąsiada tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Na jej twarzy cyklicznie pojawiał się dziwny grymas, jakby brała udział w jakimś konkursie niekontrolowanych pijackich udziwnień oblicz.

– Tak, ożenię się i… – Niespodziewanie czknął i zaraz dał: – Mówiłeś coś?

– Nie, nic. – Odezwał się po raz pierwszy młody człowiek – Ale to dobrze że tak zrobisz. Pasujecie do siebie, wiesz?

– Oczywiście – zgodził się z nim ochoczo kompan. Dlatego się z nią ożenię.

Młody człowiek pokiwał ze zrozumieniem głową, uniósł w górę ceramiczny garnuszek i powiedział:

– Wasze zdrowie! – Wypił wszystko, co znajdowało się wewnątrz kubka, po czym otarł usta rękawem dżinsowej kartki.

Z zewnątrz ponownie dobiegł głos spikerki: „Uwaga! Uwaga! Pociąg do…” – i zanim wybrzmiały następne słowa zapowiedzi część podróżnych zaczęła opuszczać bar. W pomieszczeniu na moment zrobiło się przestronniej i jakby trochę ciszej.

Michał wyjął z plecaka kanapkę i zaczął jeść. Po chwili do środka weszło dwóch milicjantów. Wzięli po herbacie i zajęli miejsce na wprost Michała trzy stoliki od niego. Byli bardzo młodzi i odnosiło się nieodparte wrażenie, że to, kogo reprezentują, dodaje im w jakiś magiczny wręcz sposób pewności siebie – zbyt dużej, jak na ich wiek.

– No popatrz, co się dzieje? – powiedział młody człowiek do swojego towarzysza. – Niebieskie ptactwo zgłodniało i się opierdala, zamiast uczciwie pracować. – Uśmiechnął się, ale uśmiech ten nie należał do mimowolnych i beztroskich. Był wymuszony i nienaturalny. Było w nim coś, co już na pierwszy rzut oka budziło grozę, odstraszało i ostrzegało przed nieokreślonym jeszcze niebezpieczeństwem. Jego oczy wzbudzały lęk i obawę przed czymś złym i niegodziwym. – I zawsze, kurwa, parkami. Jak jakieś pieprzone pedryle – dodał nienawistnie. – Brakuje tylko, żeby się jeszcze trzymali za rączki, kurwa!

– A mam ich gdzieś… – odparł obojętnie mężczyzna w płaszczu. – Pieprzyć ich. – Dopił resztę z garnuszka, oparł głowę na dłoni i przez chwilę obojętnie wpatrywał się w jakiś odległy punkt przed sobą. Po chwili, jakby rażony nagle jakąś genialną myślą na miarę odkrycia stulecia, powiedział: – Wy tutaj zostańcie, a ja skołuję jeszcze jakś flaszkę, bo ta – klepnął ręką w kieszeń płaszcza – już wyschła.

Młody potakująco kiwnął głową na znak zgody, wysączył resztkę wódki z garnuszka i mętny wzrokiem odprowadził swojego kompana do wyjścia; następnie przeniósł tępe spojrzenie na kobietę, przechylił się ponad blatem w jej stronę i coś powiedział. Nie zareagowała, jakby nic do niej nie docierało. Była w stanie, który mówił, że teraz nie ma jej tutaj, że przebywa w tej chwili w jakiejś dalekiej podróży i że szybko raczej z niej nie wróci. Lewitowała gdzieś wysoko, w świecie beztroski i zapomnienia. Chwilowego, co prawda, ale wszystko wskazywało na to, że niezwykle odległego.

Mundurowi dopili swoją herbatę, a następnie niespiesznie opuścili bar.

Michał skończył jeść, zrobił jeszcze dwa krótkie łyki czegoś, co zostało tutaj na wyrost nazwane herbatą i powędrował za milicjantami. W chwili gdy wychodził, z boku dobiegło do jego uszu głuche uderzenie. Wolno skierował wzrok na jego źródło. Przy stoliku młodego mężczyzny nie było kobiety. Oczy wszystkich obecnych zwrócone były w jednym kierunku: podłogi. Na lastrykowej posadzce nieruchomo, jakby sparaliżowana, leżała przyszła towarzyszka życia mężczyzny w płaszczu. Ktoś w barze krzyknął aby wezwać pogotowie, ktoś gdzieś wybiegł, ktoś inny próbował pochylić się nad leżącą, ale natychmiast odstąpił od tego zamiaru, rażony jej zapachem. Michał otworzył drzwi i zanurzył się w mrok wczesnego wieczoru. Szedł wolno, kierując się w stronę dobrze znanego sobie miejsca. Dochodziła wpół do dziewiątej, a on był zmęczony i myślał w tym momencie tylko o jednym – ciepłej kąpieli i długim, niczym niezmąconym odpoczynku w samotności. Odpoczynku nie skażonym niczyją obecnością.